Nr. 24. Lwów dnia 13. Lipca 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedyńczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Zbadajmy teraz powody, które mogły skłonić Kołłątaja do oświadczenia się w d. 23. lipca za bezzwłocznem przystąpieniem do konfederacyi targowickiej. Jak pojmował zadanie sejmu czteroletniego, świadczą jego listy do Stan. Małachowskiego, wydane w trzech tomach przed i zaraz po zebraniu się sejmu tego, tudzież inne pisma, które ogłosił następnie drukiem w ciągu trwania jego. We wszystkich tych pismach, a szczególniej w listach do Małachowskiego domagał się pomnożenia bezzwłocznego siły zbrojnej, zaopatrzenia skarbu w potrzebne zasoby, utrzymania neutralności, ustanowienia rządu silnego i przyznania upośledzonym dotąd warstwom społeczeństwa praw im należnych. Udzielając swych rad sejmowi, zwracał nieustannie uwagę jego na zbieg przyjaznych Polsce okoliczności, które koniecznie należy zaraz zużytkować, dokąd wszystko jej sprzyja, a co więcej wykazywał bardzo dowodnie, że z ustaniem wojny moskiewsko-tureckiej przeminie pora stosowna bezpowrotnie, a tem samem spadnie na sejmujących ciężka odpowiedzialność za jej nie zużytkowanie na korzyść ojczyzny. W sprawie, zajmującej wszystkich nader żywo, z kim zawrzeć przymierze, czy z Moskwą czy z Prusami, oświadczał się za neutralnością, przepowiadając z góry, że trzy mocarstwa rozbiorcze powaśnione chwilowo pogodzą się z sobą, a Polska za nierozważne zawarcie przymierza z jednem na niekorzyść drugiego będzie musiała zapłacić koszta wojenne nowym zaborem swych dzierżaw. Ostrzegał przytem bardzo wymownie, że miasto czas trwonić na szumnych rozprawach należy z największą sprężystością przystąpić do załatwienia spraw najżywotniejszych, od czego zależy całość i niepodległość ojczyzny, a mniej ważne zostawić na później, gdy po ubezpieczeniu bytu własnego sejm trwały będzie mógł swobodnie uzupełniać i rozwijać zasadniczo już w ustawie rządowej nakreślone zmiany i ulepszenia.

Nie jego wina, że sejm, a szczególniej większość tegoż patryotyczna, nie uwzględniła rad i uwag jego, a co gorsza dopuściła się mnogich błędów politycznych, których następnie i po uchwaleniu ustawy rządowej 3go Maja 1791 nie umiała naprawić. Co przepowiadał w r. 1788, ziściło się w 1792 i to zaraz po zawarciu pokoju między Moskwą i Turcyą. Trzy mocarstwa rozbiorcze pogodziły się z sobą, a król pruski, który sam ofiarował swe przymierze Polsce w sposób najpochlebniejszy, wyparł się bezczelnie warunków tegoż i nietylko zdał ją na łaskę rozwścieklonej carowy, ale w dodatku za dalszy udział w wojnie przeciw Francyi zażądał znacznego obszaru dzierżaw polskich tytułem wynagrodzenia za poniesione nakłady wojenne. W chwili tak krytycznej nie miał kraj dostatecznych sił ku własnej obronie, a gdy nadeszła do Warszawy wraz z deklaracyą carowy i wiadomość o wkroczeniu jej wojska, wezwanego niby przez świeżo zawiązaną konfederacyę targowicką, musiał każdy z ludzi myślących a świadomych usposobienia króla, większości jego ministrów i ogółu ziemian uczuć w sercu swem trwogę o los ojczyzny. Nic też dziwnego, że człowiek tak bystrego umysłu jak Kołłątaj spostrzegł zaraz, że Polska osamotniona a przytem dzięki zbrodniczemu spiskowi Targowiczan rozdwojona wewnątrz i narażona na wojnę domową nie może marzyć o zwycięzkiej walce z Moskwą, jeżeli król, wojska i wierna nowej ustawie rządowej większość narodu nie zdobędzie się na bohaterskie i bezwarunkowe poświęcenie za ojczyznę, a tem samem nie poweźmie zamiaru walki do upadłego w obronie jej całości i niepodległości. Zapał sejmu

w chwili odczytania deklaracyi moskiewskiej zdawał się na razie rokować najlepiej, lecz w miesiąc niespełna musiał się każdy rozczarować, kto zimno rozważał faktyczne stosunki i nie unosił się płonnemi marzeniami. A takim był zawsze Kołłątaj. Wojsko nasze, któremu nie zbywało wprawdzie na odwadze, lecz za to na dobrem kierownictwie, na wprawie wojennej i na niezbędnych zasobach żywności i amunicyi, musiało się ciągle cofać przed oskrzydlającymi je Moskalami, przez co Targowica coraz bardziej mogła rozszerzać swą zbrodniczą konfederacyę, a tem samem wciągać do niej przemocą coraz większą liczbę ziemian. Gdy na dobitek Ign Potocki wrócił z Berlina z odmowną króla pruskiego odpowiedzią, a Stan. August wiecznie chwiejny przeląkł się nagle niedawnej swej odwagi, było widocznem, że w takim składzie stosunków trudno myśleć o walce na zabój, skoro ani król, ani większość ministrów, ani zresztą ogół narodu nie byli do niej skłonni, a częste zdrady w wojsku aż nadto świadczyły, że i nań również z bezwarunkową pewnością nie można było liczyć.

W tak smutnej ostateczności musiał każdy prawdziwy lecz wytrawny patryota dojść do przekonania, że odłożywszy do czasu sposobniejszego obwarowanie bezwzględnej niepodległości ojczyzny, trzeba na razie myśleć przedewszystkiem o ubezpieczeniu przynajmniej jej całości, chociażby pod tak nieznośnem jak do roku 1788 zwierzchnictwem Moskwy, którę oczywiście należy przebłagać, gdy odparcie jej wojska, dotąd zwycięzko naprzód postępującego, okazało się nader wątpliwem a nawet niemożebnem. Chwycono się zatem myśli ofiarowania wnukowi carowy Konstantemu dziedzicznego tronu polskiego pod warunkiem wiecznego przymierza między obu państwami i utrzymania ustawy rządowej z d. 3 Maja, przyczem wyrażono gotowość poczynienia w niej zmian, jakich carowa zażąda koniecznie. Kto był twórcą tej myśli, czy król, zawsze lgnący do Moskwy, której tron swój zawdzięczał, czy kto inny, jest rzeczą dziś obojętną. Z listów świeżo przez Siemieńskiego wydanych przekonywamy się w sposób niewątpliwy, że Kołłątaj przewidując nowy rozbiór kraju, przylgnął do tej myśli, a może ją nawet podał królowi w tem przekonaniu, że przebłaganiem jedynie carowy można zapobiedz grożącej krajowi katastrofie. Myśl tę można dziś nazwać obłędem, zwlaszcza gdy są już wiadomymi tajne układy między Moskwą i Prusami, o których wówczas nikt w Polsce nie wiedział. Nie należy atoli zapominać, że ówcześni mężowie stanu zaskoczeni nagle nie wiedzieli w chwili tak niebezpiecznej dla ojczyzny innego wyjścia, szczególniej po doznanym zawodzie ze strony króla pruskiego, który w sposób nader cyniczny wyparł się swych względem Polski zobowiązań. Obłęd ten dał pochop do wspomnionego listu króla do carowy, a gdy jej szorstka odpowiedź pozbawiła i tej kotwicy mniemanej zbawienia, nastręczyło się samo przez się pytanie, co dalej robić? Zagadnienie to było wśród owoczesnych stosunków trudnem do rozwiązania. Król wraz z swą rodziną i zaufanymi przyjaciołmi rozstrzygł je w d. 22. Lipca postanowieniem stanowczo już powziętem wykonania rozkazów carowy. Po takiem dopiero postanowieniu zwołał król nazajutrz straż całą na posiedzenie, aby dla formy zażądać jej zdania. Jakie będzie zdanie połowy jego doradzców, wiedział z góry, ponieważ przypuszczenie byłoby śmiesznem, że mógł być w wątpliwości, za czem się oświadczy ta połowa, którę znał przecież na wylot. Lecz o tem wszystkiem a niemniej o postanowieniu powziętem na poufnem posiedzeniu u króla wiedzieli wraz z Kołłątajem i inni członkowie straży. Siemieński udaje dziś gorącego wielbiciela tych, którzy na posiedzeniu d. 23 Lipca głosowali za walką do upadłego, a potępia stanowczo Kołłątaja za objawienie zdania przeciwnego. Lecz powinien był przytem wykazać, że walka taka była wtedy możebną, czego jednakże nie uczynił wcale. Co więcej, bierze za złe Wegnerowi, który rozważając sumiennie i bezstronnie owoczesne położenie Polski. zwalił winę nie na jednego, ale na ogół, który po prostu zwątpił o możności ocalenia ojczyzny i nie był usposobiony do bohaterskiego w jej sprawie poświęcenia. Że tak było niestety w rzeczy samej, wie każdy, kto bez powziętych z góry uprzedzeń przeciw pojedyńczym osobom zbadał wszechstronnie owoczesne stosunki. Tego nie zadziwi też bynajmniej, że człowiek tak wytrawny jak Kołłątaj spostrzegł zaraz, że w takim nawet wypadku, gdyby się większość straży oświadczyła za walką do upadłego, walki tej nie będzie, ponieważ król jest jej przeciwny, a na zwołanie sejmu zabraknie po prostu czasu, że zatem nie ma innego sposobu wyjścia, nad przystąpienie bezzwłoczne do konfederacyi targowickiej, przez co stręczyła się przynajmniej możność zyskania na czasie i nastrojenia jeszcze wszystkiego na korzyść całości ojczyzny. Zaprotestować i wyjechać za granicę nie dowodziło w rzeczy odwagi, lubo jednało sławę i poważanie, lecz na prawdę znaczyło tyle, co pozbawić kraj w chwili nader niebezpiecznej sił najlepszych, a losy jego oddać w ręce albo zarozumiałych i nadętych głupców, wodzonych na pasku przez Moskwę, albo znanych zdrajców i zbrodniarzy, jakimi byli n. p. obaj bracia Kossakowscy. Nie należy zresztą zapominać, że większość ministrów zasadniczo przeciwna ustawie rządowej 3 Maja i wraz z królem skłonna od dawna do przywrócenia dobrych z Moskwą stosunków, czekała tylko chwili spokojnej, by otwarcie stanąć po stronie przeciwników nowej ustawy, z którymi znosiła się tajemnie.

Każdego człowieka publicznego należy oceniać z czynności całego życia a nie z jednego pojedyńczego kroku lub czynu, którego powody zdadzą się zawsze zagadkowymi, jeżeli się nie uwzględni wszystkich okoliczności, jakie wpłynęły na sprzeczne z głoszonemi przezeń zasadami postępowanie jego. Chcąc zatem rozwinąć zagadkę, dla czego Kołłątaj, który przecież, jak wiadomo, do najpierwszych należał twórców ustawy rządowej 3go Maja i do zamachu stanu, po nadejściu odmownej z Berlina odpowiedzi zgodził się na projekt rozbrojenia gniewu carowy ofiarowaniem tronu dziedzicznego jej wnukowi, a oraz dla czego po odrzuceniu przez nią tej ofiary, nie tylko królowi w dniu 23 Lipca doradzał bezzwłoczne przystąpienie do Targowicy, ale i sam przy wyjeździe z Warszawy zostawił w ręku Strassera swój warunkowy adres do niej; otóż chcąc tę zagadkę rozwiązać bezstronnie, należy sobie uprzytomnić wszystkie owoczesne okoliczności, aby z ich zestawienia się przekonać, czy była inna droga wydobycia ojczyzny z niebezpieczeństwa, w życiu zaś jego całem szukać wskazówki, czy do tego kroku skłaniała go sama miłość ojczyzny, czy też interes własny, jak chce Siemieński, który, opierając się na kilku wyrażeniach, zawartych w świeżo wydanych listach jego, podsuwa mu w tem powody czysto samolubnej natury, gdyż obliczone na korzyść własną. Do niedawna toczył się, jak już mówiłem, spór wyłącznie o to, czy Kołłątaj rzeczywiście uczynił krok, jaki mu wytknął zjadliwie Linowski w swym bezimiennie wydanym liście do przyjaciela, a za to nie zajmowano się bynajmniej rozważaniem powodów, które mogły go skłonić do tego kroku. Obrońcy jego zaprzeczali stanowczo rzeczywistość tego czynu, a przeciwnicy podnosili z nieudawaną radością każdą drobnostkę, która mogła posłużyć na poparcie

twierdzenia, że znienawidzony przez nich podkanclerzy koronny krok ten uczynił. Samo jednakże wykazanie rzeczywistości czynu tego nie jest jeszcze dowodem przeciw Kołłątajowi, jak wykazanie, że kroku tego nie uczynił wcale, nie mogłoby jeszcze świadczyć o prawdziwej jego miłości ojczyzny. Dlatego nie należało na tem przestawać, ale sięgnąwszy głębiej, szukać w zestawieniu wszystkich czynności jego życia podstawy do ocenienia kroku tego z złej lub dobrej strony. Tą drogą poszedł też Wegner, a zestawiwszy dowody, że Kołłątaj postąpił sobie rzeczywiście w dniu pamiętnym 23 Lipca, jak mu zarzucał Linowski, zwalił winę na całe społeczeństwo, a nie na niego samego. Tem oburza się teraz Siemieński, a przytaczając kilka imion szanownych, pragnie z tego zarzutu oczyścić ogół, a za to odziera z wszelkiej czci Kołłątaja.

(C. d. n.)

NOC LETNIA.

(FRAGMENT)

O! nocy letnia!... Srebrnej rosy zdroje
Padają cicho na ziemię spragnioną,
Na twe skinienie tulą się powoje,
Róża zamyka pierś roznamiętnioną,
I młode dziewcze o twarzyczce bladej,
O swym kochanku marzące w drzew cieniu,
Z ufnością dziecka, które nie zna zdrady,
Główkę swą składa na twojem ramieniu.

Nocy! o jakże twej ciszy spragnieni
Ci, których nędzy bliźni nie podeprze...
Pod twoje słodkie skrzydła przytuleni,
Na twardem dzisiaj, — marzą jutro lepsze.
O! w tobie oni niech znajdą obrońcę!
Ty sen im błogi ześlij na powieki,
Każ, by ich jutro nie budziło słońce,
Jutro niepewne... niechaj śpią na wieki!

O! nocy letnia, gwiazd złotych królowo,
Co ciszę siejesz w gwar miasta i wioski,
Której zaklęcia czarodziejskie słowo
Ból ubezwładnia i usypia troski,
Co płaszcz swój szary rozwiewasz szeroko,
Aby niem nakryć męki i katusze,
Co dla spraw ziemskich zamykasz nam oko,
A na niebieskie otwierasz nam duszę...
O! nocy letniej ciszy utajona!
W niemej modlitwie twoich łąk i gajów,
W ciszy twych jezior, w westchnieniu ruczajów
I sama w sobie — bądź błogosławiona!

Kiedy się wsłucham w twą czarowną ciszę
I uchem mojem nocne szmery łowię,
Badam twój oddech i wyraźnie słyszę,
Jak się w twej ciszy modlą Aniołowie.
Wieczorna zorza, jak lampa zamglona,
Niepewnym blaskiem miga na lazurze,
I słyszę jęki z głębin ziemi łona,
Na skrzydłach twoich płynące ku górze.

Leśne ptaszęta, kwiaty i płaz lichy,
Wzorzyste łąki i zamierzchłe knieje,
W twojem objęciu znajdują sen cichy
I pokrzepienie i jutra nadzieję.
Wszystkich utulasz w matczyne ramiona,
Chłodną im ręką ścierasz krople znoju,
Dla wszystkich jesteś równie upragniona,
Tylko dla zbrodni nie znasz ty pokoju.

O nocy! dla niej straszne są twe cienie!
Jak blade widmo stajesz przed oczyma,
Na czole twojem iskrzą się płomienie
Jak u bram piekła: „t u n a d z i e i n i e m a!“
I próżno zbrodzień w twoją głębię czarną
Ucieka, ciszy łaknąc w twoim cieniu;
Bo choć mu spuścisz snu makowe ziarno,
Choć sen dasz oczom — nie dasz go sumieniu!
W twym chłodzie jego nie ostyga czoło,
W twej ciszy burza gra w sercu Kaina...
I gdy cię wszystko błogosławi w koło,
On jeden tylko twą ciszę przeklina!

Władysław Bełza

PITAGORAS, USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

Dr WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

Powiadają, że od przybytku głowa nie boli... Otóż gdy jedno stronnictwo uprawia tylko umiejętności przyrodnicze, lepiej w każdym razie iść za pzzykładem drugiego i uprawiać obok umiejętności przyrodniczych i umiejętności historyczne. Göthe powiedział raz: „*nur die Fülle führt zur Klarheit*,“ idąc też za jego przykładem należy sobie wziąć za prawidło: lepiej za wiele, niż za mało.

Już z natury rzeczy płynie, że romantycy główny nacisk kłaść powinni na historyę, albowiem ona w nich tylko ma swoich opiekunów, jak to widzieliśmy, podczas gdy klasycy chcieliby historyę uważać za jedną gałęź umiejętności przyrodniczych. Nadmienić tu jednak muszę, że pod klasykami nie rozumiem tych ludzi, którzy w pismach swoich naśladują tak zwanych klasycznych pisarzy helleńskich i rzymskich, lub tych, którym Boileau za wzór służył lub dotąd jeszcze służy, ani tych, którzy, smakując w życiu helleńsko-rzymskiem nie chcą postępowaniu swemu nakładać kajdan Chrystusowego zakonu, lecz tych, którzy w poglądzie swoim u z n a j ą w s z y s t k i e l o g i c z n e n a s t ę p s t w a u m i e j ę t n o ś c i, s z t u k i, m o r a l n o ś c i, r e l i g i i h e l l e ń s k i e j, słowem c a ł e g o ż y c i a H e l l e n ó w; jak znów pod romantykami nie rozumiem tych, którzy podzielają wszystkie zapatrywania się tak zwanych młodych romantyków, dla których średnie wieki z ich fanatyzmem, feudalizmem, ciemnotą, scholastyką, despotyzmem, wandalizmem są ideałem do naśladowania, którzy kładąc zdrowy

rozum i zwyczajne myślenie na bok pragnęliby słuchać jedynie geniuszów i natchnionych, uważając za tych ostatnich marzycieli, ludzi plotących niestworzone brednie i niedorzeczne mrzonki, którzyby według swego widzi mi się wszystko w ład i skład wprowadzać chcieli: ale wyłącznie tych, którzy chrześcyaństwo za ideał swój uważają, nie takie chrześcyaństwo, jakie za epoki Borgiów było w Rzymie, a może i dzisiaj we wielu i bardzo wielu jest miejscach, u wielu i bardzo wielu chrześcyan, u wielu i bardzo wielu chrześcyańskich kapłanów, ale takie jakiem ono według myśli jego założyciela Chrystusa, według ewangelii być powinno.

Znachodzimy wprawdzie tak zwanych m o d e r a n t ó w co chcieliby klasycyzm z chrześcyaństwem pogodzić, lecz ja przynajmniej o nich nie mam dobrego wyobrażenia; ci panowie siedzą na dwóch stołkach i ostatecznie skończą na tem, na czem ów pies skończył, co to biegł po nad wodą niosąc w gębie kawał mięsa, i chcąc ze zazdrości obrazowi swemu we wodzie jego kawał odebrać — swój własny postradał. Moderantyzm w logice nie ma punktu oparcia, tkwić on może tylko w chorobliwej wyobraźni marzycieli. Moderantyzm cechuje nadto słabe charaktery, co nie mając śmiałości wypowiedzieć silnemu nieprzyjacielowi wojny, chcieliby z nim żyć na dobrej stopie. Nie twierdzę tutaj stanowczo, że moderanci są tylko przeniewiercami, pochlebcami, działającymi z nieczystych pobudek, ale twierdzę, że moderanci idąc za owem chińskiem przysłowiem, że środkowa droga najpewniejsza, są niezaprzeczenie chińczykami nowoczesnymi, którym brak tej siły i tęgości duchowej, tej wszechstronności umysłowej, tej władzy akomodacyjnej duchowego wzroku, z któremi z różnych stanowisk jednako rzeczy widzieć by mogli; są to zmiennicy, co badając czasy monarchii absolutnej, chcieliby i czasy swoje w szatę absolutyzmu ubrać, konstytucyjne trony obalić, ciała prawodawcze porozpędzać — a rozczytawszy się w czasach rewolucyjnych, uwielbiają krwiożerczą trzodę i znów te same czasy dzisiaj wprowadzićby chcieli. Co do mnie ja przenoszę klasyków-panteistów, klasyków-materyalistów nad moderantów; według mojego sposobu widzenia są oni sprzętem niepotrzebnym a nawet szkodliwym dla umiejętności, bo drogę, którę umiejętność odbyć ma, zawalają rumowiskiem i śmieciem, które umiejętności na nic się nie zdadzą: podczas gdy się zasady zetrą ze sobą, nawzajem się kruszą i tem samem prowadzą do tego, że jak z dwóch kamieni o siebie tartych twardszy się ostoi, miększy na pył się zetrze, tak i zasada twardsza, silniejsza, wyższa z walki wyjdzie zwycięzko, a słabsza zaginie i zapomnianą będzie. Lecz i to uwidocznić jeszcze muszę, że czy po stronie klasycyzmu, czy też po stronie romantyzmu staniemy, na jedno głównie jak najsilniej uważać należy, a mianowicie należy jakoby pod utratą zbawienia strzedz z d r o w e g o, n a t u r a l n e g o r o z u m u, bo wyzbywszy się tego lada szarlatanowi powodować się będziemy, popłyniemy tam dokąd nas fale zaniosą, dokąd nas wiatry zawieją, staniemy się narzędziem w ręku każdego, ktoby na nas wpłynąć zechciał, będziemy dziś budowali z kroplistym potem na czole, a jutro będziemy to samo z oznaką równego zadowolenia burzyli, to co dziś krwią swoją piszemy, będziemy jutro krwią swoją mazali, brak nam będzie kompasu, któryby nam wśród burz i wichrów życia okazywał, gdzie jesteśmy i dokąd płynąć mamy.

Zdrowego rozumu właśnie w naszych czasach więcej niż kiedykolwiek indziej strzedz nam należy, jak skoro Hegel w swej osławionej fenomenologii odważył się wypowiedzieć wojnę zdrowemu rozumowi. W fenomenologii powiada Hegel, że dualizm, który byt od myśli oddziela, zapatrując się na świat ze stanowiska tak zwanego zdrowego rozumu, jest stanowiskiem nie filozoficznem, albowiem filozofia, jeżeli ma być prawdziwą filozofią, b y t i m y ś l e n i e za jedno i to samo uważać musi, zkąd znów Hegel wnosi, co przed nim już Spinoza wypowiedział, że c h c i e ć i m y ś l e ć jest także jedno i to samo.

W obec tak nieuzasadnionego twierdzenia, co dzisiaj przyznają nietylko w przeważnej liczbie filozofowie z zawodu, lecz także i badacze przyrodzenia (którzy w hellenizmie i klasycyzmie nie rywalów lecz poparcie znajdują), ciekawą jest rzeczą, co mogło go spowodować do wystąpienia z niem?

Niedorzeczność tego twierdzenia uderza przedewszystkiem w umiejętnościach ścisłych, zajmujących się danemi bezpośrednio spostrzegalnemi. W sferze filozofii, zwłaszcza tej, która kwitła w czasach Hegla, nie można było tak stanowczo o niedorzeczności Heglowskiego twierdzenia orzekać, albowiem ostateczna zasada, będąca podstawą i kamieniem węgielnym filozoficznych systemów, które tuż przed Heglem na świat przyszły, była także niedorzeczną. Fichte i Schelling nie utworzyli zdrowej filozofii, oni to byli twórcami filozofii romantycznej, filozofii podmiotowego idealizmu. Jak Tieck, Novalis, Schległowie i inni twierdzili w dziedzinie poezyi, że moje podmiotowe *ja* jest ostatecznem źródłem i najgłówniejszem prawem tak dobrze wszelkiej myśli, jak i wszelkiego bytu, tak to samo niedorzeczne twierdzenie przeniósł Fichte a za nim Schelling w dziedzinę filozofii i uznał za podstawę *niby* prawdziwego systemu filozoficznego. Filozofia ta Fichtego i Schellinga znalazła zwolenników, gdyż filozofia Kanta, która urodziła się przed Fichtem, była filozofią krytyczną a tem samem filozofią skeptyczną i jako taka prowadziła do tego kardynalnego jej dogmatu, że istoty rzeczy poznać nie możemy, że istota tak świata w całości jak i jego pojedyńczych składowych części jest dla naszego rozumu nieprzystępną. Gdy więc ostatecznym celem krytycyzmu Kanta był skeptycyzm, a skeptycyzmu cechą jest wątpienie o prawdziwości każdej prawdy, a zatem i o prawdziwości skeptycyzmu, nic dziwnego, że — jak tonący brzytwy — chwycono się filozofii Fichtego i Schellinga, bo ona zdawała się mieścić w sobie więcej prawdy, aniżeli filozofia skeptyczno-krytyczna Kanta. Skoro znów filozofia absolutno-idealna Hegla okazała się być jeszcze więcej zbliżoną do prawdy i rzeczywistości, niż podmiotowy idealizm Fichtego lub przedmiotowy idealizm Schellinga, a tem samem prawdziwszą niż skeptycyzm i krytycyzm Kanta, było bardzo naturalnem, że ją z takim entuzyazmem witano, zwłaszcza, gdy zwrócimy na to uwagę, że Hegel w przedmowie do fenomenologii wyraźnie wypowiada, że wadliwą współczesna filozofia jest głównie dlatego, iż jest romantyczną, to jest dowolną, zamiast być ściśle umiejętnościową, opartą na rzeczywistości i prawdzie. Gdyby też Hegel istotnie nic więcej nie był zrobił, jak tylko to, żeby na wzór Aristotelesa przekształcił był filozofię swojego czasu, byłby się istotnie wielce ludzkości przysłużył, bo znaczyłoby to tyle, jak żeby w gorączce marzącego człowieka z gorączki tej wyprowadził — byłby to pierwszy stopień przyjścia do zupełnego zdrowia. Niestety czynem nie stwierdził Hegel tego, co w słowach wypowiedział, lecz przeciwnie w gorączce fantazował zupełnie tym sposobem, jak i poprzednicy jego Fichte i Schelling, dopiero Trendelenburg nadał filozofii hellenizm Aristotelesa za podstawę, zwalczając filozofię absolutno-dyalektyczną Hegla. Hegel wziął sobie za zadanie i d e a l n e p r z e t w o r z e n i e za pośrednictwem swej myśli, tej dysharmonii w filozofii owocze-

snej w harmonię wewnętrznego świata z zewnętrznym, jaką napotykamy w poezyi i w sztuce, w państwie i obyczajach, słowem: w życiu Hellady, lecz zadaniu temu nie podołał, nie dlatego, jakoby nie miał zdolności po temu, lecz dlatego, że zadanie to jest nie do rozwiązania, a niedołęztwo umysłowe u Hegla objawia się właśnie w tem, że podjął się dzieła już z natury rzeczy niewykonalnego. Zważywszy zresztą i to, że Hegel swej logiki nie wyprowadzał z czystego myślenia. lecz patrząc na świat rzeczywisty i na historyę budował logikę, zamiast ją tylko wywnioskować; że on rzeczywistość przepuściwszy dopiero przez sito swojego absolutnego idealizmu, do swej logiki wprowadził, a tem samem wszystkim oczy zamydlił, gdyż wszyscy myśleli, że rzeczywistość wypływa z logiki Hegla z nieubłaganą koniecznością: nie trudno zrozumieć, że większość ludzi myślących z takiem uwielbieniem była dla filozofii Hegla, która ostatecznie dokładnie rozpatrzona i na swoje składniki rozebrana, okazała się być dowolną i bezpodstawną.

Lecz z drugiej strony zapoznawszy się dokładniej z duchem drugiej połowy XVIII i pierwszej IX wieku, należy przyznać, że Hegel tworząc swą filozofię działał w dobrej wierze a bynajmniej nie chciał ludzkości oszukiwać i w błąd wprowadzać, lecz przeciwnie, że mimo swej wiedzy i woli sam się w błąd wprowadził. Powiadają, że filozofia Hegla jest trudną do zrozumienia. Zapewne, jest ona trudną do zrozumienia dla tego, ktoby w niej ostatecznej prawdy doszukać się chciał, lecz ona nie jest trudną do zrozumienia dla tych, co ją rozważają ze stanowiska historycznego, co ją badają, że tak powiem, ze stanowiska embryologii. Tych ostatnich nie zatrwożą zdania n. p. „byt natury jest to samo co świadomość...“ „wszystko nie jest niczem innem jak tylko własnem naszem działaniem i własną naszą istotą...“ „chcieć i myśleć, być i myśleć, jest jedno i to samo...“ „idea sama od siebie się odłącza, aby stać się czemś innem sobie przeciwnem, a następnie w jedność się połączyć...“ „byt a nic to wszystko jedno...;“ tamci pierwsi nie zrozumieją tych zdań, wyuczą się ich chyba na pamięć i będą je, jako papugi, powtarzać. Badającemu filozofię Hegla ze stanowiska dogmatycznego będą zdania dopiero co przytoczone i inne tym podobne, jakoby apokaliptyczne misterya, świętością, zaś rozpatrującemu ją ze stanowiska historycznego będą one tem czem są istotnie, to jest niedorzecznościami wypływającemi zupełnie logicznie z jednego niedorzecznego na świat poglądu. Z Polaków najznakomitszy znawca filozofii Hegla Gołuchowski (*Dumania* I str. 392) powiada słusznie: jak kuglarz pokazujący sztuki, usilujący całą operacyę gładko przed oczami widzów przeprowadzić i oczy im zamydlić, postępuje sobie Hegel, a Lewes (*Hist. fil.* I. 51, 52) powiada, że Heglowi o to chodzi, aby fałsz nie dostał się do jego filozofii otwartemi drzwiami, ale tylko dziórką od klucza. Ta scholastyczność w filozofii Hegla stanowi też najsłabszą jej stronę, to też dzisiaj chyba tylko bardzo zacofany lub ślepy całkiem odważyłby się twierdzić, że system Hegla jest jeszcze jak dawniej władcą życia i umiejętności; poznano się na szalbierstwie i zaprzestano przecież, jak to dawniej bywało, brać za barbarzyńcę i idyotę, zacofańca i godnego pogardy empiryka, a nawet za podejrzanego w oczach rządów, każdego, ktoby się odważył wypowiedzieć posłuszeństwo Heglowi.

(C. d. n.)

CYD,

według Romancero Hiszpańskiego,

z przekładu Herdera

spolszczył

WŁADYSŁAW HR. TARNOWSKI

CYD

pod FERDYNANDEM WIELKIM.

(Ciąg dalszy.)

Rzekł i spełnił. Nieulękłych
Powiódł Cyd dziesięć tysięcy
W dzikie pola, Alpów szczytem.
Przeciw niemu hrabia Raymund
Sabaudzki z zastępem konnym...
Ale pobił Cyd hrabiego,
Do niewoli wziął, i w zakład
Własnej córki puścił tylko!
Najpiękniejsza z panien świata
Króla stała się gołąbką,
A syn ich wspólnej miłości
Był kościoła kardynałem.
I francuzki król niewcześnie
Swe na Cyda posłał wojsko,
Ale wnet je Cyd rozprószył;
Kiedy wreszcie z hufcem swoim
Już w Italskiej spoczął ziemi,
Jak najspieszniej, papież, cesarz,
Obaj wraz zapomniawszy
Posyłają do Fernanda
Byle cofnął wojsko Cyda...
I tak wrócił hetman dzielny
Z wojskiem lwich, wybranych druhów,
I prawicę swą dziękczynną,
Swą królewską, Don Fernando
Doń wyciągnął — a Cyd dzielny
Jakże z króla dziękczynienia,
Z chwały kraju był szczęśliwy!...

18.

Do Zamory gdzie król bawił
Z całym dworem się stawili
Maurytańscy wraz posłowie
Do Rodryga z Biwaru.
Pięciu królów Maurytańskich,
Których zrobił Cyd jeńcami,
Byli właśnie to posłowie
Przynoszący mu daninę:
Sto tam koni dzielnych było
Krwi Arabskiej, między nimi
Dwadzieścia tak śnieżno-białych
Jak gronostaj do głaskania,
A dwadzieścia jabłkowatych
A trzydzieści zaś kasztanów,
A trzydzieści szpakowatych,
Wszystkie razem makatami
Bogatemi zaścielone,

Co się wlókły aż po ziemi.
Kędy stąpał orszak dumny.
A dla Donny zaś Xymeny
Nieśli strój bogaty, cały
Klejnotami bramowany,
Dwa ogromne też hiacynty
I dwie skrzynie z jedwabnemi
Dla jej służby ubraniami.
I pokornie jak wazale
Zbliżali się ku Cydowi
I zwierzchnikiem go nazwali.
— „Przyjaciele," rzekł Rodrigo,
„Gdzie mój król a pan króluje,
„Ja lennikiem jestem tylko,
„Więc danina co raczycie
„Nieść mi, iście jest królewską
„Więc oddajcie ją — królowi."
Król rzekł zasię: „Przyjaciele,
„Panom waszym odpowiedźcie,
„Że nie król ich jest zwierzchnikiem,
„Lecz najbliższy druh królewski
„I że wszystko co posiadam
„Czem się szczycę i czem władam,
„Winien jestem to — Cydowi."
Tak wrócili jak niepyszni
Posły one i nie znali
Kto właściwie był lennikiem,
A który z nich królem był.

19.

Tęsknie czekała Xymena
W komnatach swego pałacu,
Tęsknie czeka na Rodryga,
Bo godzina rozwiązania,
Ta boleśna a tak słodka
Nadchodziła. Chwila błoga,
Której w życiu tak czekała...
I w poranek raz niedzielny
Przyszły srogie jej boleści
I w łzach tonie jej oblicze,
Ach! oblicze to, tak skromne.
I wzdychając bierze pióro
I niejedną skargę rzewną
I próźb tysiąc miłościwie
Do drogiego pisze męża,
Które zmiękczyć by to serce
Snadź musiały, gdyby mężczyzn
Serca, honor nie otoczył
Praskalistym wskróś pancerzem.
I powtórnie chwyta pióro
I nowymi skarg lamenty
Pisze drugi list do króla
Do pierwszego, z królów w świecie.
— „Dobry, mądry, wielki królu,
„Zwycięzki i sprawiedliwy,
„Służebnica twa, Xymena
„Dziś przed twoim majestatem
„Skarży się — a przedmiot skargi
„Wielki królu — toś Ty sam!
„Krotochwila waszej łaski
„Było tylko dać mi męża,
„Mało która z niewiast była
„Mniej zamężną niźli ja.
„O wybacz mi Mości królu,
„Tylko twoja w tem jest wina!
„List ten z Burgos piszę, kędy
„Życiu memu dziś złorzeczę,
„I osobie Twojej Panie!
„Bo któreż z przykazań boskich
„Dajeć prawo by rozłączać
„Młodą parę na tak długo
„I tak często? Które prawo
„Upoważnia Ciebie panie
„Mego męża, co uprzejmy,
„Dobry, miły a łagodny,
„Ukochany, czarodziejski,
„Na srogiego lwa przekształcać?
„Sześć miesięcy, w dzień i w nocy
„Wstrzymujecie go bez względu,
„I raz, ledwie raz do roku
„Widzi swą małżonkę, mnie!
„A jak wraca? w krwi skąpany
„Aż po stopy swego konia,
„A gdy później w me ramiona
„Go obejmę, to zasypia!
„Śni jak jaki opętaniec
„Mordy, boje i pożogi!
„Ledwie brzask jutrzenki rannej
„Zapromieni, już się zrywa,
„Nie bacząc czy śnię, czy czuwam!
„Boże mój! z jakiemiż łzami
„Powitałam go! wszak miał być
„Ojcem moim! matką moją!
„Teraz mi na wszystkiem zbywa,
„Nie mam ojca — ni małżonka!
„Jeżli tem go uczcić chcecie,
„Królu! jemu takiej czci
„Nie trza. Dawniej on był sławnym,
„Nim się jeszcze zasiał was!
„Już królików Maurytańskich,
„Pięciu Cyd w niewolę wziął!
„Królu, Panie! oto wkrótce
„Ma stanowcza już godzina
„Nadejść, i on sam was wkrótce
„Zawiadomi; a mam powód
„Lękać się, że łzy za ojcem
„Wylane zaszkodzą dziecku,
„Które w mojem łonie spi!...
„Dobry królu! a więc serca
„Mową napisz mi najprędzej,
„Czy mi oddasz męża raz?
„Czy chcesz, aby połowica
„Najpierwszego z twych hetmanów
„Pierworodne dziecię na świat
„Dała — i osierociła?...

Przypisek

„Jeszcze jedno, dobry królu;
„Rzuć w płomienie ten mój list,
„By się który z twoich dworzan
„Nienajgrawał z jego słów!...
„I pamiętaj Don Fernando,
„Że na miejsce mego męża
„Tylko jego matka siwa,
„Pozostała ze mną sama
„Co przy boku moim spi!"

(C. d. n.)

PRZEGLĄD RZECZY SŁOWIAŃSKICH.

Spojrzawszy na zebrany przed nami materyał, widzimy dopiero jak zadłużyliśmy się. Przyczyną tego jest szczupłość miejsca przeznaczonego w *Świecie* na Przegląd słowiański. Pozostaje nam jeszcze z literatury czeskiej z dwóch ostatnich miesięcy wspomnieć o kilku pracach i zostawić sobie tyle miejsca, ażeby wystarczyło na krótką chociaż wzmiankę o ruchu na Morawie i na pomniejsze wiadomości ze świata słowiańskiego. Zanim jednak przejdziemy do tego płacimy tu jeszcze dług wdzięczności braterskiej pisarzom czeskim a w szczególności W. Halkowi, F. Urbankowi i W. Vlckowi za serdeczną i gorliwą pomoc w redagowaniu niniejszego działu i korzystając ze sposobności wzywamy pisarzy z innych ziem słowiańskich o nadsyłanie nam prac swoich do rozbioru, przez co obraz ruchu słowiańskiego w piśmie naszem pełniejszym się stanie a praca nasza więcej pożytku i donioslości mieć będzie. Prosimy o to szczególniej autorów serbskich, z którymi droga do porozumienia się umysłowego jest dla nas o wiele trudniejszą. Spodziewamy się, że redakcye pism słowiańskich, do których pismo nasze dochodzi, zechcą powtórzyć i poprzeć to wezwanie.

Literatura historyczna czeska wzbogaciła się znowu kilkoma pracami.

Pierwszą z nich jest dzieło wydane staraniem Palackiego p. t.: *„Przyczynki do dziejów czeskich.“* (Dział I. Żywoty świętych. Zeszyt I i II.) W dziale tym znajdują się legendy w przekładzie czeskim z podaniem tekstu starosłowiańskiego; w następnych mają być kroniki i inne źródła. Pierwszy zeszyt zawiera w sobie 12 legend, cyrylo-metodyjskich, a mianowicie jedna grecką w tłómaczeniu Nowotnego, dwie łacińskie i siedm starosłowiańskich, pomiędzy któremi zasługują szczególniej na uwagę panońska, bułgarska, wołoska i morawska, które jednak kanonik Ginzel w swojej „Historyi św. Cyryla i Metodego“ już przed kilkunastu laty był wydał. Dalej następują dwie legendy o św. Janie: jedna starosłowiańska w przekładzie Kollara, a druga łacińska.

Treścią drugiego zeszytu są podania o św. Ludmile i o św. Wacławie, w przekładzie Kollara, Zubka i Truchlarza; jest ich dwanaście, najnowsze starosławiańskie, najstarsze Gumpoldowa i Chrystyanowa. Wydawcy dr. Palacky i dr. Emler, obiecują jeszcze dać wkrótce krytyczny rozbiór wartości i znaczenia historycznego tych podań.

Za nadanym popędem przez powyższe dzieło poszedł dr. Józef Kalusek w studyum swojem: „Obrona św. Wacława.“ (Przedruk z *Pokroku.*) Już przed 10 laty prof. Tomek w roczniku „Muzeum“ wspominał o mnóstwie błędnych poglądów, tyczących się św. Wacława, które mają źródło u niemieckich dziejopisów i przedstawiają tego władzcę nie wedle starosłowiańskich, wiarogodnych podań, ale opierając się na nędznej biografii jego przez Gumpolda, biskupa mantuańskiego, napisanej, w której św. Wacław przedstawiony jest jako niewieściuch, mający wstręt do oręża i zmniszony, jako władzca niedbały i wpływowi Niemców poddany. Dr. Kalusek wykrywa i obala te fałsze, odejmując przedewszystkiem Drahomirze i Bolesławowi mgłę legendową, w którę ich owijano, i stawiając je jako historyczne postacie, św. Wacława zaś pokazując jako statecznego i wielce nabożnego męża, który się doskonale obejść może bez Gumpoldowych baśni o opłatkach, o krwawych stopach, anielskich zjawieniach się itd. Spokój i troskliwa krytyka zalecają nader tę książkę.

Tu także doliczyć potrzeba rzecz wprawdzie nie po czesku napisaną, ale której znaczna część, liturgii słowiańskiej w Czechach, historyi jej powstania i rozwoju jest poświęconą. Jest to najnowsza praca kanonika dr. Ginzla z Lutomierzyc, wydana w Wiedniu u Braumüllera, w dwóch zeszytach p. t.: *„Kirchen-historische Schriften.“* Dzieło to nie ustępuje w wartości znanej w całych Niemczech teologicznej pracy tegoż samego autora p. t.: *„Reform der katholischen Kirche“* w Lipsku 1870 wydanej, a ma dla świata słowiańskiego, dla owego epizodu o kościele narodowym słowiańskim żywotną ważność.

Przechodzimy do publikacyi z literatury nadobnej, na której czele stoi „Maj,“ noworocznik literacki „Stowarzyszenia artystycznego.“ Jakie wspomnienia w literaturze czeskiej wiążą się z „Majem,“ opowiada o tem Józef Durdik w niniejszej książce, w artykule p. n.: „Rudolf Mejer,“ poświęconym wspomnieniu jednego z najgorliwszych współpracowników „Maju“ w ubiegłem dziesięcioleciu.

„Było to w roku 1858. Ludzie bystrzejszego umysłu przeczuwali pomyślny zwrot dla narodu i zwiastowali o tem. Jednem ze znamion bliskiej wiosny był także i śpiew czeski — nowo przebudzony. Kilku gorętszych druhów połączyło się, odmienne, śmielsze odezwały się dźwięki i wyszła mała książeczka, której dano imię „Maj;“ w niej czeska poezya znalazła się na nowo i uprzedziła zmianę polityczną o całe dwa lata. Z tą książeczką począł się nowy ruch w literaturze pięknej Czech.“

Teraz po dziesięciu latach wychodzi świeża i wonna równianka prac pod tą samą zbiorową nazwą i przywodzi owe wszystkie miłe wspomnienia narodowi na pamięć. Wydanie to jednakże o wiele piękniejsze i bogatsze układem i treścią od pierwszej próby. Znajdujemy w niem nowy cykl poezyi Hałka: „W Przyrodzie“ i mnóstwo innych prac poetycznych. Z tych szczególniej zasługują na uwagę niezmiernie wdzięczne i proste „Sny“ Swatopluka Czecha, w których od sielankowego skromnego obrazka ton rośnie aż do wzniosłej, społecznej pieśni. Dajemy na próbę czytelnikom naszym w przekładzie jeden z tych „Snów,“ ostatni (VI):

W starej chatce przebywają
Dziaduś i babusia stara;
Kryje jedną dobrą duszę
Przygarbiona, siwa para.

We dwóch głowach ośnieżonych
Jedna myśl jest maleńka;
Do jednego serca wiodą
Cztery jasne okienka.

Śmierć już tylko wspominają
Staruszkowie jedynie;
I śmierć swoją wiecznie widzą
We śnu cichej godzinie.

Zda się im, że anioł biały
Jednem dłoni dotknięciem
Dwoje uśpił i wziął w niebo,
Dwoje — jednem objęciem;

I że biegnie zadziwiona
Patrzeć cała wioseczka:
Jak śpią w jednej trumnie białej
Dziadunio i babeczka;

Że im jeden dzwon podzwania,
Miserere jedno brzmi:
A ksiądz jedną czyta mszę
Za obojga starców dni:

Jeden grób oboje bierze,
Jeden krzyżyk nad niemi,
A pod krzyżem jedna im
Róża wschodzi ze ziemi.

A na niebios sklepieniu,
Dusze pary tej biednej
Dobry Pan Bóg przesiedlił
Do gwiazdeczki mdłej, jednej.

Znajdujemy tu jeszcze Karoliny Swietlej powieść: „Okamgnienie,“ napisaną prześlicznym stylem i tak pełną delikatnego i poetycznego kolorytu, że raczej na imię nowelli niż powieści zasługuje, oraz Pflegra romans „Pan Wyszyński“.

W tym dziale zapisać nam jeszcze wypada piąte wydanie „Poezyi Jabłońskiego“ (w Pradze u Pospiszila). Tak szybkie wyczerpywanie się edycyi wskazuje, w jakiej czci utwory Jabłońskiego znajdują się u Czechów i jest najlepszym wartości ich dowodem. Chwyta nas tu znowu pokusa cytat, ale wstrzymujemy się dla braku miejsca i tą wzmianką przechodzimy do działalności umysłowej Czechów na Morawie, która niestety mniej obfite daje owoce.

Zdawałoby się, że kiedy ludność czeska Morawii i Szląska wynosi 1,700.000, t. j. połowę ludności Czech (3,135.000) powinienby być i w literaturze podobny stosunek. Dzieje się jednak całkiem inaczej. W 1869 roku wyszło w Morawii wedle statystyki „Wiestnika bibliograficznego“ ledwo 39 dzieł, w 1870 — 38, w 1871 —

30; nie lepiej w bieżącym roku. W Czechach wychodzi przeszło 110 czasopism: w Morawii ledwo 15. Przypada z tego na Berno 6; Ołomuniec 5; a na Iglawę, Rajgrod, Prostiejów i Znojmo po jednemu. Przyczyną tego jest głównie brak umysłowego ogniska na Morawie. Nie może niem być Berno przeważnie handlowe i przemysłowe, a tem mniej zamknięty wałami Ołomuniec. W całym kraju nie ma ani jednej wielkiej księgarni narodowej, — ani jednego na wielką miarę nakładcy. To też większa część prac miejscowych pisarzy wychodzi w Czechach. Cały ruch księgarski spoczywa w ręku kilku firm spekulantów niemieckich, jak np. Karafiata, Buschaka i Irrganga w Bernie. Z poezyą bardzo smutnie. Nie ma do zapisania nic oprócz zbiorku: ,,*Kwiaty majowe*", ani jednego noworocznika; w tym dziale jedynie jest kilka kościelnych spiewników i Suszela „*Zbiór narodowych pieśni Morawskich*". Powieściopisarstwo reprezentuje „*Biblioteka do rozrywki*" w Rajgrodzie, podająca „*Katolickie romanse*". Najlepiej przedstawia się jeszcze literatura teologiczna. Z historyi i nauk jej pokrewnych oprócz kilku książek szkolnych nie wiecej nie ma. Najnowszą pracą sa Dr. B. Dudika „*Dzieje Morawy*" w Pradze i po czesku. Przemysłowych i gospodarskich dzieł kilka, że wspomnę nazwiska Hofrichtera, Mathona, Bezdicka i Kramarza. Z literatury dziecinnej wymieniamy tu piękny zbiór pism dla młodzieży Komeńskiego. Najsilniejszą działalność jeszcze rozwija „Matica Morawska w Bernie". która wydała przez 3 lata ,,*Nowe poezye*" Suszila, ,,*Pisma*" Zerotina i kilka pomniejszych prac. Zamykając ten niepocieszający obraz wskazujemy na usiłowania ksigarni Kramarza i Prohazki w Ołomuńcu, które może na powiększenie produkcyi literackiej w tym zakątku słowiańskim wpłyną.

Chcielibyśmy tutaj jeszcze wspomnieć o jednym z tłumaczów czeskich, który kilka utworów literatury naszej narodowi swemu przyswoił, — o kilku tłómaczeniach prac pisarzy słowiańskich na języki obce i o znakomitym rosyjskim powieściopisarzu i dramaturgu Janie Turgeniewie.

Tłumacz, o którym chcemy mówić jest to Wilhelm Szpanhel, ur. w r. 1837, którego przekłady na czeski z języków pobratymczych wielką dokładnością i pięknością języka się odznaczają. Ilość ich dosyć znaczna. Wymieniamy z nich niektóre; z chorwatskiego ,,Różowa lalka" nowella Karoliny Jarnewiczowej; ,,Krzyżacy" historyczna nowella Jana Suboticza; ,,Ojcowskie grzechy" przez Błażeja Lorkowicza i t. d. Z polskiego przełożył: „Życiorys Dr. Ludwika Légera, (Tygodnik Wielkopolski, Klemens Kantecki) ,,Ostapa Bondarczuka" i „Jarynę" Kraszewskiego. Wkrótce wyjdą „Panna mężatka" Korzeniowskiego i „Kwiat z Sumatry" Wolodego Skiby.

Z przekładów utworów słowiańskich na obce języki zapisujemy tu tłómaczenie „Wieczornych pieśni" Halka na język niemiecki przez Gustawa Dörfla.

Mamy właśnie pod ręką dzieło Ottona Glogau, w Berlinie u braci Poetel wyszłe pod tytułem: „*Die Russische Litteratur und Ivan Turgeniew.* Książka ta dowodzi, jak goraco Niemcy zajmują się tym znakomitym powieściopisarzem i dramaturgiem rosyjskim.

Zdaje się, że ciekawą będzie dla czytelnika rzeczą— przy takiem zajeciu cudzoziemców i w chwili, kiedy kończy się 25-letnia działalność tego pisarza — usłyszeć kilka szczegółów o jego życiu, pracach i stanowisku w literaturze rosyjskiej.

Z dzisiejszych powieściopisarzy rosyjskich używa Jan Siergiejewicz Turgieniew najobszerniejszej sławy, imię jego bowiem Europie całej jest znane. Tłumaczą go Francuzi i Anglicy, w niemieckim języku wyjdzie wkrótce zupełne wydanie dzieł jego, w czeskim i serbskim jest już ono w całości. W Rosyi używa ogromnej popularności, pomimo że w powieściach swoich wypowiada nieraz srogie prawdy, oburzające wielu na niego. Stoi on na czele ruchu nazwanego zachodnim — przeciwnego Słowianofilom.

Główny zarzut, jaki mu czynią, jest stawianie w utworach swoich tendencyi na pierwszym planie. Zarzut ten ma za sobą pewną słuszność. Jednakże ta silna intencya poprawy narodowej i społecznej nie ujmuje bynajmniej wartości artystycznej dziełom Turgeniewa. Stworzył on całkiem nowy rodzaj romansu w literaturze rosyjskiej, najbardziej angielskiemu pokrewny. Głęboki obserwator łączy z francuzkim dowcipem i lekkością humor Thackeraja lub Dickensa. Nowelle jego mają ten sam koloryt mglisty i melancholijny, przechodzący czasami w pełną wdzięku szczegółowość w charakterystyce osób i sytuacyi, co powieści angielskie.

Nikt tak z pisarzy rosyjskich nie pojął niedoli ludu prostego w swoim kraju i nie oddał z takim smutkiem i siłą jak on n. p. w „Zapiskach Myśliwca" — chyba jeden Niekrasów.

Urodził się on 20 grudnia 1811 r. w Orle, gdzie ojciec jego był pułkownikiem. Dzieciństwo przepędził po największej części w domu rodzicielskim, w pośród bardzo wielu nauczycieli, z których żaden nie był Rosyaninem. Nic narodowego nie było w jego wychowaniu, a pierwsza książka rosyjska, które wziął do ręki, bynajmniej go nie natchnęła. W 17 roku życia wstąpił na uniwersytet w Moskwie. Przeszedł ztamtąd jednakże do Petersburga, gdzie spędził trzy lata, potem udał się na dwa lata do Berlina i tam wszedł w zażyły stosunek z Bakuninem, wówczas już dygnitarzem. Żył nader serdecznie w tej porze ze znakomitym estetykiem i krytykiem rosyjskim Bielińskim. co wywarło na niego wpływ doskonały i stanowczy.

Pierwsze jego próby pisarskie miały formę wierszowaną, ale nie powiodły się. Odrzucił przeto pióro, sądząc, że mu braknie talentu. W r. 1847 opuścił Petersburg i na gorące tylko prośby Bielińskiego pozwolił mu wydrukować w *Sowremienniku* małą powiastkę swoją: „*Chor i Kalinycz*"

Utwór ten składający się z kilku stronnic zaledwie doznał znakomitego powodzenia. Z niego przeświadczył się Turgeniew o swym powieściopisarskim talencie i postanowił się temu rodzajowi literatury poświęcić. Później pomieścił powiastkę tę w „Zapiskach myśliwca." Wkrótce wyjechał do Paryża i tam napisał cały szereg obrazów, które po wydrukowaniu w *Sowremienniku* wydał osobno p. t. „Zapiski myśliwca." Dzieło to zyskało nadzwyczajny rozgłos i ugruntowało w Rosyi sławę Turgieniewa; do dzisiaj jeszcze poczytywanem jest za najlepszą jego pracę. Tegoż samego roku napisał świetny artykuł nekrologiczny o Gologu. Artykułem tym naraził się tak mocno rządowi. że musiał wyjechać z Petersburga i dopiero po wstąpieniu na tron dzisiejszego cara uzyskał pozwolenie powrotu. Zajeżdżał jednakże tylko na krótki czas do kraju i najwięcej przebywał we Francyi; w r. 1863 zaś osiedlił się stale w Baden.

Z licznych prac jego wymienimy tu tylko: „Szlacheckie gniazdo," (*Dworjanskoje Gnezdo*), w którem bez miłosierdzia smaga rosyjską szlachtę; „Ojcowie i dzieci" (*Otcy i dieti*), powieść wymierzoną przeciw nihilizmowi; „Dym" szorstką satyrę na magnacką warstwę rosyjską, przywożącą z obczyzny tylko wady i niedorzeczności, które u siebie zaszczepiać usiluje; „Księcia Srebrnego," powieść historyczną i mnóstwo małych nowell, w których jest nienaśladowanym mistrzem, jako psycholog i stylista.

W ostatnich czasach napisał trylogię dramatyczną z dziejów swego narodu: „Iwan Groźny,“ „Feodor“ i „Borys Godunow“ — w której jako dramaturg odkrył nową stronę swego geniuszu i przejawił się jako doskonały znawca serca ludzkiego i mistrz w odczuciu kolorytu epoki, oraz w sztuce wydobywania wzruszających i tragicznych efektów. Obszerny rozbiór tych dramatów dali u nas Stanisław hr. Tarnowski w *Przeglądzie Polskim* i Jan Motty w *Tygodniku Wielkopolskim* (1871).

Zbiór zupełny pism jego wyszedł najpierwej w Moskwie w r. 1860; potem w r. 1865 w Karlsruhe; a nareszcie w r. 1869 w Moskwie (7 tomów). Mnóstwo prac jego istnieje w przekładzie francuzkim; sam dokonał i podał kilka tłumaczeń swych utworów w *Revue de deux Mondes*. Obecnie wychodzi ich przekład niemiecki. Turgeniew w bieżącym roku święci dwudziesto-pięcio letni jubileusz swojej działalności literackiej.

Wł. Ordon.

Wystawa sztuk pięknych we Lwowie.

II.

Drugi najdostojniejszy dział malarstwa, który też zwykle najliczniejszych w Polsce znachodził adeptów — malarstwo historyczne, również nie wydało w tym roku żadnego n o w e g o dzieła. Co więcej — oprócz „Stefana Batorego“ Matejki, nie ma w ogóle na wystawie ani jednego, prawdziwie historycznego obrazu. Sceny rodzajowe, obrazki fantastyczne, krajobrazy i portrety pochłonęły w sobie na ten raz całą fantazyę, czas i siły naszych malarzy, tak że na historyę brakło tych wszystkich rzeczy. A przedewszystkiem brakło zdaje się w głowie szerszych i głębszych motywów — nie umiano zajrzeć do dziejów, w których tyle jest przecie dotąd nietkniętych materyałów, domagających się gwałtem opracowania.

Jeden zaledwie obraz z historycznym zakrojem wyszukaliśmy na wystawie, ale on nie nowy, a przedewszystkiem więcej w nim sielanki niż historyi. Jest to W o j c i e c h a G e r s o n'a (z Warszawy): *„Wanda.“* Dziewica piękna i wysmukła w powłóczystej, błękitnej, śrebrem narzucanej szacie stoi nad brzegiem Wisły w leśnej ustroni; uroczysta samotność i cisza natury towarzyszą scenie historycznej, która ma się tu odbyć, i podnoszą tragiczny jej urok. Wyraz oblicza królowej, pragnącej rzucić się w rzekę, natchniony, twarz rzucona w niebo pragnie zeń zaczerpnąć siły poświęcenia; zresztą maluje się na niej rezygnacya, uszlachetniająca pewien odcień zmęczenia i przebytych boleści, który się ostatniem jeszcze echem odzywa. Przemawia od tej postaci majestat duchowy, powaga i wyniosły spokój, modelowanie bardzo szlachetne i harmonijne, rzecz pomyślana dobrze. Ale twarz Wandy mimo to wszystko sprawia niemiłe wrażenie. Jest za żółtą... Malarz chciał tem uwydatnić siłę cierpień przebytych, a nie sprawił wrażenia estetycznego. Nadaje taka cera twarzy pewną chorobliwość, czysto fizyczną, przez co się nadwerężа i trywializuje podniosłość idei, cierpienie nazbyt fizyczne przytłacza urok i wyraz cierpienia duchowego. A potem — na co te dwie postacie w głębi obrazu, występujące z pomiędzy cienistych drzew i ciekawie przyglądające się królowej? Psuje to jednolitość kompozycyi, odłącza uwagę widza od jedynego, ważnego przedmiotu t. j. od królowej i niweczy dramatyczność pomysłu, która leżała właśnie w tem osamotnieniu królowej, co pożegnała już świat i społeczeństwo, wśród którego żyła, a ostatnią tę chwilę życia przebywa tylko ze sobą, z naturą i z — Bogiem...

Jeżeli nie z motywem historycznym, to przynajmniej z historyczną postacią spotykamy się na obrazie W a l e r e g o E l i a s z a: *„Jan Zebrzydowski, miecz. kor. odwiedzający pracownię ks. Franciszka Lexyckiego.“* W skromnej celi zakonnika artysty stanęła grupa postaci magnackich, dumnych, sumiastych — Jan Zebrzydowski ze swym orszakiem i małżonką — która jest prześliczną. Przyglądają się świeżo wykończonej pracy malarza. P. Eliasz umiał każde oblicze innym nacechować wyrazem, przyczem skupienie uwagi wszystkich postaci na jednym punkcie wiernie dochowane. Na czele grupy usiadła w krześle uprzejmie sobie podanem młoda pani miecznikowa w lekkiej lazurowej sukience, świeża i piękna, przytem trochę sentymentalna i widocznie lubiąca się sztuką roztkliwiać. Przy całem jednak zainteresowaniu się pięknością oglądanego malowidła, dostrzedz w niej pewien odcień wytwornej apatyi, cechującej dobrze powiewną myśl wielkiej damy, która nie może i nie zawsze chce spocząć na przedmiotach godnych pochłonąć cały jej umysł i wyobraźnię. Postacie miecznika i grupy mu towarzyszącej pełne wielkomagnackiej grandezzy i zachowanej powagi, ulegającej silnemu wrażeniu, ale nie malującej go na twarzy rysami pospolitej wyrazistości. Szczególnie postać magnata w zielonym żupanie jest świetną. Wyborny kontrast do tej całej grupy tworzy sympatyczna, pełna słodkiej prostoty, twarz mnicha-malarza, który nie pozuje na artystę, ani nie ma genialnego na czole piętna, bo on maluje z „łaski Bożej,“ a nie z geniuszu. Mnich uznaje własny talent nie za dzieło swej duszy, ale za łaskawy dar z nieba, ztąd w nim skromność i prostota. Cały zresztą układ jest bardzo szlachetny, ugrupowanie dobre, światła i przestrzeni wiele, malowanie delikatne, koloryt jasny, przeźroczysty, jakby dziergany śrebrem, przypominający Matejkę. Akcesorya i stroje zalecają się historyczną ścisłością. Wrażenie obrazu miłe, jakkolwiek nie podnoszące.

Są utwory sztuki tak uderzającej wartości, że umieszczone w masie innych, od razu zwracają ku sobie cały interes widzów; bez namysłu oddajemy się wtedy przeważnemu urokowi wrażenia i mówimy z całą siłą extazy: z tego wszystkiego to najpiękniejsze! Takiem cackiem obecnej wystawy, jakkolwiek w pozorach skromnem, ale przerastającem w pomyśle i wykonaniu wszystko inne jest K a z i m i e r z a M i r e c k i e g o: *„Noc bezsenna na poddaszu.“* Mieć wprawę pędzla, znać sztukę koloryzowania, rzucać zdumiewające kontrasty światła, brawować świetnością modelu kobiecego — to wszystko jest łatwiejszem, aniżeli mieć poezyę w duszy i przelać ją pędzlem w obraz. A cóż to za tkliwe uczucie, jaka poetyczność głęboka wyziera właśnie z tego arcydziełka p. M.! Nie znajdzie on głośnych pochwał u tłumu, chwytającego za wszystko, co przeraża lub olśniewa, ale pewne grono dusz czułych na to, co ma siłę w prostocie a przemawia ciszą, zawsze w nim odnajdzie źródło słodkiego wrażenia. Na poddaszu skromny pokoik szwaczki. Późno w noc szyła, chociaż obyła się bez wieczerzy u może i bez — obiadu. Wiszniowa na niej sukienka, a ta druga na kolanach z błękitnego aksamitu — to suknia bogatej kobiety, która będzie heroiną jutrzejszego balu. Na stole dogorywa świeca — kończy się bochenek chleba i dzbanek wody tylko już resztki jej dochował — u okna biała kotara, owinięta splotami bluszczu i klatka z kanarkiem. Więcej

tam nic już niema, prócz jeszcze — ducha i poezyi... Przypatrzmy się tej postaci kobiecej. Twarz jej i cała kibić jest wzorem doskonałej piękności, model prawie klasyczny, formy pełne i posągowe. Na twarzy spoczął wyraz boleści niezgłębionej, ale spokojnej, bez skargi... Przytłoczenie nędzy nie pozwala jej nawet marzyć; zdaje się, że ta śliczna kobieta nie kocha — stan jej duszy, to smętne opuszczenie ku ziemi skrzydeł fantazyi, to wyczerpanie się fizyczne i duchowe... Na sentymentalizm nie ma tu miejsca; uważamy to za świadectwo delikatnego poczucia psychologicznego u p. M., że obliczu szwaczki nie nadał najlżejszej cechy miłośnego rozmarzenia. Byłoby to konwencyonalnem, od razu nasuwającem się wyobraźni każdego artysty czy poety — tak zaś, jak jest, obraz ma więcej posępnego, aż z grozą prawie graniczącego, ale jednolitego liryzmu. Jeden tylko jeszcze rys jest w tej twarzy silny i wyrazisty — jest to majestat cnoty i dziewiczej godności... Ta szwaczka nigdy nie upadnie, prędzej zgaśnie, jak owa świeca, co się dopala na stole, jak owa gwiazda w legendzie Ratisbonne'a... A jakież to jeszcze pełne i rzewne uczucie rozlało się po całej izdebce, wcieliło się w każdy jej sprzęt ubogi i przepływa tajemniczym prądem aż do ludzkiej duszy... P. M. dobiera zawsze kolorytu, wybornie harmonizującego z duchem sceny, którą maluje. Koloryt w tej „Nocy bezsennej," łzawy i posępny, a mimo to wyrazisty; każdy szczegół obrazka zlewa się w całość tej samej idei i zestraja we współdźwięk ze swą zasmuconą heroiną. Błędów w rysunku nie dostrzegłem — wyznaję, że nie bardzo chciałem dostrzedz. Cały poemat w ramach szczupłego obrazka! Pójdźmy już...

Wiele wspólnictwa myśli z utworem p. M. ma niewielki ale ładny obrazek Erazma Fabiańskiego (we Lwowie): *„Modlitwa."* W kruchcie kościelnej, otoczona ponurym zmrokiem, jaki w takich zakątkach zwykle panuje, modli się kobieta w podeszłym już wieku, typ bardzo prawdziwy, z natury przemalowany; strój na niej porządny, miejski, ale skromny — może jest wdową po emerytowanym urzędniku... Jest w tym obrazku wiele realizmu, który jednak nie przeszkadza głębszemu wyrazowi duszy, osiedlonemu na twarzy modlącej się. I tu, jak u Mireckiego, spokój, ale nie ten, co tam, nie tyle zaczerpnięty z łagodnej natury własnej, ile z błogiego wpływu religii chrześcyańskiej. Ta blada i walką życia znękana kobieta widocznie modli się wiele i nie narzeka, nie pozuje na wyrzut niebu. Ciemne i jednostajne tło nadaje powagę i smutny wdzięk całej scenie. Malowanie nader wykończone i poprawne; zresztą p. F. nie wyzywał trudności — poza i układ ciała kobiety jest zwyczajnym i łatwym. Nie o trudności formy też artyście chodziło, ale o wyraźne przedstawienie myśli, o typ kobiety.

Do najcelniejszych obrazów wystawy liczy się Juliusza Kossaka: *„Ostatni przyjaciel."* Treść nie bogata. Pobojowisko. Nad zwłokami żołnierza stanął koń ze zwieszoną grzywą—przyłożył nozdrze do trupa, chcąc wybadać, czy jego pan skonał, czy żyje... Do koła dekoracya bojowa—zwaliska i potrzaskane armaty, opodal na dolinie padają jeszcze tyralierskie strzały konnych szaserów, dymy ścielą się wzdłuż całego widoku, koloryt posępny, ołowiany, przepełniony mgłą, kurzem i jękami konających... Bohaterem obrazu jest koń, a gdy zważymy, że to koń Kossaka, nie potrzeba się już troskać o poprawność rysunku. Nikt się też tu nie będzie lubował jędrną muszkularnością jego budowy, miłym tonem jego maści, a cała uwaga skupia się natychmiast we wyrazie oblicza, w tem jego przedziwnem zasępieniu, znamionującem taką głębię bolu, że przy nim ludzkość ze swemi cierpieniami wydaje się bladą... Odszukać duszę w zwierzęciu i tak prawdziwie, tak silnie ją oddać, nie jest zadaniem łatwem... Kompozycya całego krajobrazu okazuje wysoki gust estetyczny i szlachetną fantazyę, również zdolność uduchowniania natury, będącej tu wiernem i jedynem odźwierciedleniem tej grozy i tych wzruszeń, które owładają człowiekiem na widok rzezi ciał ludzkich.

Od wrażeń społecznej i dziejowej nędzy, od „Bezsennej nocy" Mireckiego i „Ostatniego przyjaciela" Kossaka, przejdźmy do obrazu bardzo sentymentalnego, mającego w sobie wiele obłudnej czułostkowości i wiele nazbyt wyrafinowanych efektów, obok niektórych części pięknych i bogatych w głębsze motywa. Jest to: *„Wieczór romantyczny"*, znowu Kazimierza Mireckiego. W sali balkonowej z widokiem na park i księżyc siadło grono osób w średniowiecznych kostyumach, aby słuchać wierszów poety, który zapewne nie jest trubadurem, mimo prowensalskiego liryzmu na jego i „pani" twarzy. Grupa liczna i pełna kontrastów. Najbardziej uderza wysunięta na pierwsze tło obrazu kobieta w bogatych atłasach i wsparte na jej kolanach dziecko, jakoteż stojący za nią sędziwy rycerz w stali. Najsłabszą postacią obrazu jest poeta — nie ma w nim zdrowego natchnienia, jest chory, łzawy, ckliwy; uwaga widzów rozstrzelona, braknie obrazowi duchowego ogniska. Przytem niepodobna się domyśleć, jakiej osnowy być może czytany poemat. Ten marsowy starzec, oparty o krzesło damy, opruszony siwizną i opalony słońcem, może palestyńskiem krzyżowych wypraw a będący śliczną kreacyą, zdaje się być uniesionym po rycersku rymami młodego wieszcza; poemat snadź Rolandowski zapala go i wytęża w nim wyobraźnię, pamięć i resztki energii; toż samo dziewczynka cała jest przerażoną, jakby widziadłem z „Piekła" Dantego; a znowu pani domu, słucha tych wierszów, jakby słowiczej serenady Jauffreda.. Jestże to więc poemat erotyczny czy rycerskie epos?.. Rozwiązanie zagadki zachował sobie artysta. Dwie postacie na balkonie stojące i będące raczej próżnym refleksem światła, niż istotami z krwi i kości, robią niesmaczne wrażenie teatralnego efektu. Architektonika sali, wszystkie jej ozdoby zewnętrzne, sprzęty i zbroje w guście średniowiecznym, draperye itd. zdradzają zarówno archeologiczne znawstwo, jak szlachetne poczucie estetyczne; rzucenie perspektywy bardzo zręczne, gra dwóch świateł: od lampy i księżyca przeprowadzona łagodnie i naturalnie, koloryt cały pełen życia ale i wytrawnego umiarkowania. Obraz ten więc jako kompozycya jest dobrym, ale nie powiodła się znakomitemu artyście tym razem charakterystyka osób.

O innych obrazach pomówimy następnym razem.

JÓZEF NARZYMSKI.

Żałobne wspomnienia w roku smutnej, stuletniej rocznicy dokonanego rozbioru, mnożą się z przerażającą szybkością. Niedawno straciliśmy Aleksandra Przeździeckiego, Aleksego Prusinowskiego, Jerzego Lubomirskiego, Adama Potockiego, Stanisława Moniuszkę, Henryka Sucheckiego i innych znakomitych służbą w ojczyźnie mężów, a dzisiaj przypadł nam znowuż obowiązek zanotowania w kronice żałobnej straty, jaką kraj poniósł przez śmierć młodego, utalentowanego pisarza i gorliwego patryoty, Józefa Narzymskiego.

Śmierć jego nazwaliśmy stratą krajową. Nie jest to wcale nazwa niewłaściwa. Był on dopiero w połowie swojej drogi a już zjednał sobie sławę najlepszego autora dramatycznego pośród młodszego pokolenia pisarzy. Cóżby to było, do jakich szczytów doszedłby jego talent pisarski, gdyby przedwczesna śmierć nie przecięła mu wątku żywota?

Obdarzony twórczą wyobraźnią, wykształcony, doświadczony w życiu, odgadywał prądy czasu, rozumiał i oceniał należycie jego kierunki i w postaciach, które na scenę wyprowadzał, dawał nam ludzi żywych, jak najdokładniej przedstawiających wady oraz przymioty współczesnej epoki. W każdym też utworze jego, pisanym zwykle gładko i ozdobnie, wieje duch polski i przebija myśl dobra publicznego. Nazywano go pisarzem tendencyjnym i był nim rzeczywiście. Taką atoli, jak Narzymskiego tendencyę pragnęlibyśmy widzieć w każdem dziele polskiem. Nie robimy mu więc z niej zarzutu, owszem przytaczamy jako zaletę, która go nad współczesnych mu dramatycznych pisarzy wysoko postawiła. Dykcya łatwa, zawikłanie interesujące, rozwiązanie nie naciągane, jednem słowem umiejętne zachowanie wszystkich warunków scenicznych obok przymiotów wyżej wspomnianych sprawia, że komedye Narzymskiego zawsze na scenie z przyjemnością i z pożytkiem widziane będą.

Wydał następujące komedye: „Wielki człowiek powiatowy,“ którę na konkursie w Warszawie r. 1859 wyszczególniono; „Niekomiczna komedya“ drukowana 1862 w Poznaniu, bezimiennie; „Emigrant w Galicyi“ w 3 aktach napisana wspólnie z Wł. Sabowskim i drukowana w feuilletonie *Dziennika Poznańskiego*, wyszła też oddzielnie; „Pieniądze i oczy“ w jednym akcie, wierszem, drukowana 1869 w *Kalinie*; „Poświęcenia“ w 4 aktach, napisana wespół ze Sabowskim, według pomysłu i układu Narzymskiego; „Epidemia“ w 4 aktach, uwieńczona na konkursie dzieł dramatycznych w Krakowie r. z., otrzymał za nią pierwszą nagrodę; „Pan prezydent miasta w kłopotach“ w 2 aktach, drukowana w r. z. w *Tygodniku Wielkopolskim* i „Pozytywni“ w 4 aktach, najlepsza z jego komedyi, uwieńczona na konkursie w Krakowie 1872, grana z wielkiem powodzeniem na scenie krakowskiej. Prócz tego przetłumaczył kilka komedyi z francuzkiego, a pomiędzy niemi „Skąpca“ Moliera, „Na łasce zięcia“ i inne.

Oto nie mały snopek jego dzieł dramatycznych, pomiędzy którerni są pierwszorzędnej wartości utwory. Wiadomo nam, że miał porozpoczynane inne jeszcze komedye, być może, że w papierach po nim pozostałych znajdą się i ukończone, pisał bowiem wiele. Im zaś więcej oswajał się z śmiercią, im bardziej czuł jej zbliżanie się, tem pilniej i gorliwiej pisał, jakby chciał wynagrodzić czas stracony w szumnem życiu młodości. Teatr bardzo lubił, i wszystko co miało z nim związek, wielce go obchodziło. Według zapisek Estrejchera napisał „Historyę scen w Polsce“ a w ostatnich jeszcze miesiącach życia zajmował się kwestyą uregulowania wynagrodzenia autorów dramatycznych, w najbezwzględniejszy sposób wyzyskiwanych przez dyrekterów teatrów, i liczne w tej materyi w różnych pismach poumieszczał artykuły.

Prócz utworów dramatycznych pisał Narzymski powieści, w których taż sama szlachetna, obywatelska dążność, taż sama łatwość i umiejętność pisarska, co w jego komedyach, czyni je wielce zajmującemi. Z więcej znanych wyliczamy: „Pozory mylą,“ „Historya o dwóch parach zakochanych“ napisana w sposób składany wraz z Wł. Sabowskim; „Trzy miesiące“ studyum i wreszcie „Ojczym“ drukowana w *Tygodniku Wielkopolskim.*

Najobszerniejszy jednak dział prac piśmiennych Narzymskiego, są jego pisma polityczne. Pisał do różnych dzienników w kwestyach społecznych, politycznych i ekonomicznych. Przez lat wiele był stałym korespondentem *Dziennika Poznańskiego*, w którym prócz „korespondencyi z Krakowa“ i kilkudziesięciu bardzo pięknie skreślonych feuilletonów p. t.: „O tem i owem,“ umieszczał pod różnymi tytułami poglądy swoje na sprawy galicyjskie w szczególności i całej w ogóle Polski, pełne trafnych spostrzeżeń, rad zdrowych, podyktowanych przez umysł bystry, a przytem zdolny do głębokiego i gruntownego zastanowienia.

Znamy prawie wszystkie te prace młodego pisarza, w których na tle gorącej miłości Polski i zasad demokratycznych ze skłonnością radykalną zarysowała się, co jest niezmiernie rzadką rzeczą, wielka zdolność organizacyjna i zmysł praktyczny. Gdyby te rozprawy razem zebrać, byłoby treści na kilka tomów.

Po założeniu przez księcia Adama Sapiehę pisma *Kraj* w Krakowie był przez pewien przeciąg czasu i to w epoce, kiedy *Kraj* był najlepszym, jego współredaktorem. Poruczono mu dział bardzo ważny spraw moskiewskich, które z wielką znajomością traktował.

Pisywał także do pism lwowskich. W bieżącym roku jeszcze umieściła *Gazeta narodowa* kilka jego artykułów o składce na oświatę ludową, które pisał z łoża boleści, nadesłał zaś je z Meran i z Wenecyi. Brak ofiarności w tej ważnej sprawie, sprzysiężenie się przeciwko oświacie ludowej stronnictwa konserwatywno-ultramontańskiego, stojącego dziś u steru spraw naszego kraju, dręczyło go i najmocniej niepokoiło w chorobie. W listach adresowanych do autora, piszącego to pośmiertne wspomnienie, zaklinał na świętą sprawę ojczyzny, na honor narodu o ciągłe, nieustanne zachęcanie rodaków do udzielania ofiar na szkoły ludowe. Ostatni list przesłany wraz ze swoją fotografią, pisał na kilka godzin przed śmiercią. Donosił w nim, że kończy już życie, a jeszcze umysł zwracał do spraw publicznych. *Usque ad finem* wytrwał w jednem uczuciu dla kraju i przyjaciół swoich.

Wracając do pism politycznych Narzymskiego wspomnieć należy broszurę, którę wydał w Dreznie 1869 r. p. t. „Jak można ocalić Austryę?“ Na tułactwie będąc, pisywał do dzienników emigracyjnych. Posiadał wtedy w swojej tece cały szereg prześlicznie napisanych biografii męczenników z r. 1863. Z tych drukował w *Ojczyźnie*: „Życiorys Zygmunta Padlewskiygo i Leona Frankowskiego,“ a w *Wytrwałości*: „Życiorys Tomasza Kolbego.“

Warto byłoby wszystkie dzieła Narzymskiego, tak dramatyczne jak powieściowe, polityczne i historyczne zebrać w jedną całość i razem wydać. Byłby to piękny pomnik dla zmarłego patryoty, którego życie nie przeszło bez zasługi i na polu obywatelskiego działania.

Przypominamy sobie jego wysoką postać w dniu 27 lutego 1861 r. Blady, krwią oblany, pokazał się na sali posiedzeń obradującego Towarzystwa rolniczego w Warszawie. Szedł w procesyi od kościoła Karmelitów z Leszna, która była napadniętą i rozpędzoną pod zamkiem. Narzymski powalony, zbity i raniony przez kozaka, przywlókł się do pałacu namiestnikowskiego. Gdy go ujrzano na sali, podnieśli się wszyscy z miejsc swoich i wołając: „oto mordują naszych!“ zażądali od Andrzeja Zamojskiego, ażeby jechał do zamku i upomniał się w imieniu wszystkich o krzywdę wyrządzoną. Andrzej Zamojski zamknął sesyę, przyobiecał być u Gorczakowa, a członkowie Towarzystwa ruszyli z sali. Ledwo pokazali

się w okolicy domu Malcza, dziś zburzonego, padły na nich strzały, legło pięć ofiar i rozpoczął się ów jedyny w historyi, wzniosły a szerokie widoki obejmujący ruch narodowy, który się zakończył klęską powstania.

Narzymski brał w niem najczynniejszy udział. W roku 1862 wysłanym został do Włoch. Tu porozumiewał się z Garibaldim i wspólnie z nim układał plan wyprawy na wybrzeża tureckie, która miała rozpocząć walkę o oswobodzenie południowej Słowiańszczyzny, a podnosząc kwestyę wschodnią, miała ułatwić Polsce jej ruch do niepodległości. Wyprawa ta nie przyszła do skutku z powodu Mazziniego, który zamiast na wybrzeża tureckie zwrócił ją na Rzym. Losy jej są wiadome.

Narzymski z Włoch przeniósł się do Paryża i był ajentem komitetu Centralnego pomiędzy emigracyą. Należał do przeciwników jen. Mierosławskiego a całą duszą popierał Towarzystwo młodzieży polskiej, które się w stolicy nadsekwańskiej wtedy zawiązało.

Po powrocie z Warszawy został członkiem komitetu Centralnego. Podczas narady (w grudniu 1862) jak się zachować na wypadek branki, popierał wniosek jednego z kolegów, który proponował zorganizowany, bezbronny opór. Poparcie jego było wymowne, gorące i uchwała zapadła tej treści, że nie będzie powstania, lecz tylko opór stawiany poborowi. Wyjście spisowych do puszczy Kampinoskiej i do lasów Serockich, było początkiem wykonania wspomnionej uchwały, która w dalszym ciągu została zwichnioną, opór bowiem zamieniono na orężne powstanie. O uchwale grudniowej zapomniano dla tej przyczyny, że inne osoby weszły były do komitetu Centralnego. Dawniejsi jego członkowie, którzy powzięli wspomnianą uchwałę, ustąpili z powodu, że policya francuzka przez aresztowanie Godlewskiego i innych osób w Paryżu, wpadłszy na trop, mogący wykryć komitet Centralny, tajemnicę nikczemnie zdobytą sprzedała Moskalom. Wybuch powstania dla Narzymskiego był więc jak i dla wielu innych niespodzianką.

Słaby, bo wtedy już wątłego będąc zdrowia dostał po raz pierwszy krwiotoku, nie mógł pójść w szeregi, był jednak nieustannie czynnym w Warszawie. Aresztowany w marcu przez Moskali, wkrótce potem uwolniony, złączył się z stronnictwem zapalonych czerwonych, którzy dążyli do opanowaniu władzy Rządu Narodowego. Zamiar ten udało się im we wrześniu przeprowadzić i wtedy to Józef Narzymski został członkiem nowego Rządu Narodowego, który po kilkunastodniowej czynności, ustąpił ze stanowiska, najwyższą władzę składając w ręce jenerała Trauguta.

Na emigracyi w Paryżu, w Dreznie, nie mięszał się Narzymski w spory ówczesnych stronnictw. Chociaż zawsze pozostał wiernym zasadom demokratycznym, utracił przecież w skutek doświadczenia wiele z poglądów radykalnych i stał się zwolennikiem umiarkowanej polityki, popierając odtąd najgorliwiej prace organicznej natury.

Utraciwszy już to z własnej winy, bo nie umiał szanować pieniędzy, już z powodów nie od niego zależnych znaczną, prawie milionową fortunę, którę odziedziczył po ojcu, na emigracyi znajdował się często w kłopotach pieniężnych. One go skłoniły do przeniesienia się do rodziny w Prusach Zachodnich, gdzie przebywał dwa lata, a potem do Krakowa, gdzie się utrzymywał z własnej pracy. Coraz więcej zapadając na zdrowiu, zimę przepędził w Meran i w Wenecyi. Ciepłe powietrze nie wiele mu pomogło. Suchoty coraz groźniej rozwijały się. Z Wenecyi wyjechał tak osłabiony, że nie mógł chodzić o własnych siłach. Przybywszy do Jaworza pod Bielskiem pod koniec Maja rb. czuł, że już dogorywa. Żętyca już mu pomódz nie mogła. Przed śmiercią na kilka dni zasięgnął listownie rady jednego z lekarzy we Lwowie, ale było już zapóźno. Umarł w nocy dnia 4 lipca, licząc lat 33.

Wspomnienie o Narzymskim dopełnimy kilku szczegółami wyjętymi z jego autobiografii, które *Czas* ogłosił. Pochodził z rodziny starożytnej, osiadłej na Pomorzu polskiem i w Płockiem, która wydała niejednego wojewodę i kasztelana. „Ojcem jego był Jan a matką Katarzyna z Gręboszewskich. Józef urodził się 8 Lutego 1839 r. w Rudzikach małych, w Lipnowskiem nad Drwęcą, w majątku rodziców swojej matki. Młodość spędził w Bogatem (powiat Przasnyski), majątku ojca swego, która to wieś pozostawała w ręku Narzymskich od 1563 r. a upiększoną została w XVIII wieku przez Jakóba Narzymskiego, wojewodę pomorskiego. Babka surowych obyczajów i matka tkliwego serca a duszy czystej, patryotycznej, kierowały jego młodością. Był zawsze wątły, chorowity i wiele pielęgnowania wypadało łożyć, aby go utrzymać przy życiu. W roku 1852 oddany był do gimnazyum płockiego, które ukończył jako celujący uczeń 1857 r. Wówczas ojciec jego ożeniwszy się usamowolnił go i oddał mu Bogate i parę folwarków na własność, drugą połowę zatrzymując sobie. Ojciec umarł 8 maja 1859. Wówczas Narzymski, pan znacznej fortuny, wyjechał do Warszawy, gdzie dostał się w odmęt Bohemii literackiej. Peryod ten trwał niedługo, choć kosztował dużo pieniędzy, złudzeń i młodości.“

W r. 1860 pojechał do Paryża i tu uczęszczał czas jakiś do *College de France*, zajęty więcej polityką, teatrem, niż nauką. Stosunki, jakie wtedy zawarł z p. Kurzyną i z młodzieżą, która się zgrupowała w około tegoż, nadały kierunek działaniu jego w latach następnych, który już nam jest znane z poprzedniego opisu.

(Gaz. N.)

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Janet Paul. Les problèmes du XIX siecle.* Paris. M. Lévy. 1872. W urozmaiconem tem dziele znajdujemy rozdziały: O filozofii politycznej Tocquevilla, o literaturze francuzkiej XVII—XIX w., o metodzie doświadczalnej we fizyologii, o filozoficznym spirytualizmie XIX w. i o usposobieniach religijnych obecnej chwili.

— *Körner Fr. Thierseele und Menschengeist, ein Versuch zum Ausgleich der materialistischen und idealistischen Weltanschauung.* Leipzig. Otto Wigand 1872. Podamy rozbiór.

HISTORYA. *O. Augustyn Theiner* przygotował do druku: „*Historyę Benedykta XIV, papieża*“ Lambertiniego, wymierzoną głównie przeciw Jezuitom. Tenże uczony nasz ziomek pracuje również nad spisaniem „*Dziejów Soboru Trydenckiego,*“ podług tajnych archiwów Watykańskich.

PEDAGOGIA. *Mecherzyński dr. Karol. Wypisy polskie dla szkół żeńskich z najcelniejszych pisarzów krajowych zebrane i ułożone.* Kraków. J. M. Himmelblau 1872.

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. *Józef Szujski* napisał dramat historyczny: „*Maryna Mniszchówna.*“ — W paryzkim *Odeonie* granym będzie dramat *Krystyna hr. Ostrowskiego*: „*Jan Sobieski*“ czyli. „*Odsiecz Wiednia,*“ dawniej grywany już z powodzeniem w Neapolu i Turynie. — We *Folies dramatiques* przedstawiają komedyę Karola Monseleta: „*Les femmes qui font les scenes.*“ Krytyka podnosi w niej dobry smak i delikatną charakterystykę. — *Antoni Rubinstein* pisze nową operę: „*Hagar,*“ do libretta *Ferd. Saara.* — *Fr. Liszt* zakłada konserwatoryum muzyczne we Weimarze. — *Hanns Mackart* maluje wielki obraz historyczny: „*Katarzyna Cornaro.*“

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.